ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 15. Sierpnia 1892. Nr. 16.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

PIOTR WŁAST,

PALATYN WROCŁAWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Kneź, kneź! — szeptał półgłosem — nie bójta się. Ja umyślnie, ja się wziął, aby inny nie zrobił. Oczy zakrwawię tylko, nie wyjmę, język skaleczę... kneź... siedź, jęcz, krzycz... niech myślą, żem oślepił... krzycz!

W czasie tych przyborów, gdy brudnemi rękami Jarmucha dotykał już skroni Petrka, Dobek się tyłem odwrócił. Patrzeć nie chciał. Oprawcy, choć widzieli, co się działo, wnet zrozumieli litość kata i przez miłość dla Palatyna milczeli. Oczyma porozumieli się wszyscy, nikt nie chciał się krwawemu widowisku przyglądać. Jarmucha obejrzawszy się bojaźliwie, ciął nożem w powieki, raz i drugi, zakrwawił skroń jednę i drugą, szybko, z gorączkowym pospiechem oczy pomazał krwią. Nogami niby dusił na ziemi wyrzucone źrenice. Potem usta otworzył Petrkowi i w język ciął tak, że krew oblała wargi.

Za każdem cięciem nogami tarł po kamieniach i piasku i śmiał się z radością dziką. »He! he!«

Petrek nie jęknął nawet.

Gdy Dobek, wyczekawszy dobrą chwilę, odwrócił się, zdało mu się, że wszystko zostało spełnione.

— Puścić ich... niech idą... o żebranym chlebie. Nie masz tu już ani piędzi ziemi, Palatynie! Sakwy mu dajcie, kij, wyszczuć go za wrota! Syn ślepemu potrzebny, niech prowadzi! Won ich za wrota! Won!

Ledwie z pospiechem gorączkowym słów tych domówiwszy, Dobek zawrócił się biegnąc do księżnej Agnieszki, aby jej donieść, że wyrok spełniono.

Księżna w sieniach stała niecierpliwie oczekując nań.

— Dokonano! oślepiony! — zawołał Dobek, rzucając się na ławę, bo nogi pod nim drżały. — Język mu ucięto!

Agnieszka uderzyła w dłonie, ale pobladła trupio, chciała biedz, w głowie jej się zawróciło i musiała się oprzeć o ścianę.

Osłabłą ze wzruszenia, Dobek, który sam niespokojny był i przejęty, musiał wprowadzić do komnat.

Nie pomyślano już na razie o tem, co się z okaleczonym Petrkiem stać

miało. Tymczasem u drzwi więziennych, jakby wszyscy byli w zmowie, chwycili bliżej stojący Petrka, który krwią mając zalane oczy, słaniał się na nogach, nie mogąc się utrzymać. Światosław objął go rękami, a Jaksa z pod muru przybiegł krzycząc i nalegając.

— Uchodźmy, uchodźmy... na biskupi dwór co prędzej!

Nikt im nie tamował drogi, owszem miejscowi oprawcy, litościwi i usłużni, wskazali im i otworzyli furtę boczną do dróżyny za wałami. Jarmucha rzucił się też za uchodzącymi, aby się wydobyć z niewoli.

Z pospiechem gorączkowym, prawie niosąc go na ręku, Jaksa popychał Petrka, szepcząc mu do ucha imię swoje. Światosław, choć sam ledwie się mógł na nogach wątłych utrzymać, podążał za ojcem. Uchodzić potrzeba było rączo, aby nowy jaki wybuch zemsty, jeszcze nienasyconej, nie dogonił ze śmierci wyrokiem.

Nie mówili prawie do siebie, na słowa zebrać się było trudno. Petrek, połykając płynącą mu z ran krew własną, modlił się Bogu dziękując. Jarmucha dłuższem więzieniem okaleczały podążyć nie mógł za uciekającymi, padł zaraz u wałów i musiał w rowie, do którego się stoczył, pozostać.

Szli. Żaden z nich nie wiedział, nie uczuł, jak długo trwał ten pochód na dwór biskupi, ani dobrze rozumiał instynktem wybranej drogi. Chwila ta zdała się im wiekiem. Jaksa naglił, tak pilno mu było widzieć co rychlej starego Palatyna bezpiecznym. Raz się dostawszy pod opiekę księcia Janika, był już choć na czas jakiś pewnym, że ztamtąd go nie porwą. Nie powątpiewał, że Biskup przyjmie nieszczęśliwego, lub że w Opactwie znajdzie przytułek.

Ani Światosław ani Jaksa nie wiedzieli o tem, co między katem Jarmuchą a Palatynem zaszło, nie domyślali się, że kat ów, co się napraszał tak chciwie do spełnienia wyroku, wzrok mu ocalił i język całym pozostawił. W drodze okrwawiony Petrek ani się odezwał ani dał poznać po sobie, co się z nim stało.

Gdy do wrót dworu biskupiego doszli nareszcie, do których Jaksa natychmiast gwałtownie szturmować począł, powybiegali ludzie biskupi i cofnęli się strwożeni widokiem okrwawionej ofiary. Wrzawa powstała w dworcu, sam Biskup, mąż pełen życia i energii, usłyszawszy o Petrku, wybiegł jak stał na przedsienie, a ujrzawszy Palatyna, którego ku niemu wiedziono, podniósł ręce do góry, zemsty Bożej wzywając.

Wprowadzono tak milczącego jeszcze Petrka do izby i złożono go na łożu; bo siły jego wyczerpały się. Po małej chwili jednak dźwignął się i milcząc ciągle, ukląkł, złożył ręce, modlić się począł.

Do koła stali wszyscy niemi i politowaniem przejęci. Biskup Janik pobożnie złożył ręce i męzkim głosem począł modlitwę dziękczynną za ocalenie życia.

Nie było naówczas innych lekarzy nad mnichów Benedyktynów, uczniów szkoły salernitańskiej i żydów, którzy z arabskich ksiąg niejakie wiadomości medyczne czerpali. Jaksa pobiegł natychmiast na Opactwo św. Wincentego z wiadomością o ocalonym, ale tam wyprzedził go już braciszek, który przebrany stał na ogrodzie i miał zlecenie donosić, co się z Petrkiem działo.

OO. Benedyktyni na najgorsze będąc przygotowani, ciało tylko umarłego wyprosić chcieli, aby dobroczyńcę swego uczcić chrześciańskim pogrzebem. Wiedziano już na Opactwie o wyłupieniu oczu i wyrwaniu języka, ale nikt nie mógł odgadnąć, gdzie się podział Palatyn. Wtem Jaksa nadbiegł oznajmując, że leży na biskupim dworze. Opat i braciszek Cencio, lekarz, natychmiast w gotowości byli spieszyć z pomocą religijną i balsamy. Brat Cencio zabierał z sobą bieliznę do okładów, leki do gojenia ran używane i cokolwiek w takich razach potrzebnem być mogło. Wszyscy razem biegli spiesząc na dwór biskupi.

W izbie przyćmionej znaleźli Petrka już leżącego na łożu, z twarzą chustą przysłoniętą, a Światosława przy nim na ziemi, na pół ze znużenia uśpionego;

Biskup siedział z dala na straży przy nich i modlił się po cichu.

Surowo zakazanem było, ażeby biskupich wrót nikomu nie otwierano, chociażby nawet z rozkazem książęcym przybywał. Ludziom kazano wziąć oszczepy i kusze a gotować się choćby do odpierania siłą napaści. O tej jednak dotąd nikt nie myślał.

Cudownie ocalony i pokaleczony tylko Petrek nie wydawał się z tem jeszcze, że oprócz krwi nie postradał nic, obawiał się bowiem, aby wieść o tem do nowego gwałtu nie stała się powodem. Milczał.

Dopiero, gdy Opat wszedł, prowadząc z sobą braciszka Cencio, gdy Biskup się oddalił, a Światosław pozostał tylko, Petrek zbliżającemu się mnichowi, do ucha go przyciągnąwszy, szepnął:

— Cudem niewymownym łaski Bożej ocalony jestem, kat litościwszym był od księcia, skaleczył mnie, ale oślepić nie chciał, a języka ranił mi i przyciął nie wiele.

Brat Cencio przyklęknąwszy opatrywać go począł.

Niestety! drżąca i niewprawna ręka Jarmuchy jedno oko nie chcąc zraniła srodze, tak że wypłynięciem groziło. Drugie ranione przez powiekę zaledwie się uratować mogło. Język pozostał całym, ale przecięty był głęboko i posieczony. Jednak i za to potrzeba było Bogu dziękować. Petrek, choć z bólem i trudnością, mógł widzieć światło dzienne, mógł kilka słów wymówić, podnieść powieki, wyjęknąć modlitwę.

— Bogu wszechmogącemu niech za to będzie chwała, — odezwał się Opat — cud spełnił nad sługą swoim. Ale dopóki wy tu będziecie, nie jesteście bezpieczni. Uchodzić ztąd musicie, uchodzić co rychlej, nieczekając uzdrowienia. Brat Cencio, syn wasz i Jaksa, który o mało życia za was nie postradał, pojadą z wami. Musicie się dostać tam, gdzie są książęta młodzi, i do nich schronić. Ziemie te już całe niemal zajmują wojska pana Władysława i pogaństwo okrutne. Uchodźcie lasami, manowcami, Bóg, który was od śmierci ratował, doprowadzi do celu. Cud stanie się, bo jest potrzebny na upokorzenie zuchwałych.

Szeptali tak długo, aż brat Cencio nakazał spoczynek choremu. Jaksa, któremu to zlecono, biegł zaraz konie i ludzi zbierać i sposobić do drogi, bo bez pocztu silnego w te czasy niespokojne uchodzić nie było można. Orszak musiał być i dobrze zbrojny i z żołnierza najlepszego a doświadczonego złożony, jawnie zaś go ściągać ani ukazywać nie godziło się, aby Władysławowi nie ścigali, domyślając się kogo prowadzono.

Na zamku spełniona zemsta, której pragnęła Agnieszka i Dobek, nie sprawiła radości nikomu.

Księżna, oprzytomniawszy z pierwszego wrażenia, znowu się domagała, aby Petrkowi życie odjęto.

Dobek dopiero po godzinie może przypomniał sobie, iż nieopatrznie wymówiwszy się, oślepionego puścić rozkazał wraz z synem.

Sam Władysław, gdy się o oswobodzeniu Petrka dowiedział, stał się niespokojnym. Obawiał się zemsty, wyrzucał Dobkowi i żonie, iż głowy potracili.

Natychmiast wyzwolonych gonić kazano, ale nim rozkazy wydawane zostały, do których spełnienia użyć musiano ludzi zamkowych, późno już było do pogoni, a nikt do niej szczerej ochoty nie miał.

Cała ludność wiejska za Petrkiem była, pomódz mu każdy był gotowym, chwytać go wszyscy się wzdrygali. Wybiegli wysłani wrzekomo w pogoń, w istocie z pragnieniem wielkiem, aby na Petrka natrafić mogli i do ucieczki mu dopomódz.

Bystre oko Dobka teraz już dostrzedz mogło na jak słabych postawach spoczywała tu władza książęcia, księżnej i jego. Ziemianie ukrywali się po kątach, gwałtem powołani przychodzili zimni i niechętni, wymawiając się i zwłócząc, gdy ich do czego użyć przychodziło. Mieszczanie rozbiegali się i ukrywali, posłuszeństwa nie było i mały orszak książęcy sam musiał starczyć na

wszystko, ciągle się rozbijając o ludzi milczących i opornych.

Przez cały ten dzień słała co chwila księżna Agnieszka po wieści, czy gdzie wypuszczonego nieopatrznie Petrka nie pochwycono.

Nakoniec gniewać się srodze poczęła i wyrzuty czynić Dobkowi, a ten też rozjątrzony wymawiał księżnie, że ona wyroku na gardło wyrobić nie umiała. Zamek rozlegał się hałasami i wrzawą, ludzie biegali jak pomięszani.

Domyślano się wprawdzie, że Petrek na dwór biskupi lub do Opactwa swojego mógł się schronić, ale na jedno i drugie, w niepewności, czy się tam znajdzie, porywać się nie śmiano. Prawo schronienia winowajcom nawet jawnym dawał ołtarz i miejsca poświęcone, targnąć się na nie nikt nie śmiał.

Dobek więc, po namyśle, na Opactwo posłał od księżnej, aby sam Opat stawił się do niej. Niespodziane to wezwanie Ojca Anzelma wcale nie ustraszyło. Dwu towarzyszów dobrawszy sobie, suknie odświętne urzędowo wdziawszy, krzyż na szyi zawiesiwszy, poważny mąż pojechał na zamek. Lud, który go zobaczył jadącego, tłumnie się za nim potoczył. Od bram zamku wprawdzie straż go odegnała, ale tuż pod wrotami zaległ jakby na czatach, bo miejska ludność zakonników kochała i gotową była stawać w ich obronie.

Dobek widział zdala to poruszenie tłumu i łatwo mógł się domyśleć, co ono znaczyło, gdy gromady te, jak zburzone fale, o wały i bramy się oparły.

W izbie oczekiwała księżna Agnieszka na Opata, po książęcemu ubrana z przepychem, dwór swój ustawiwszy do koła, bo bez okazałości tej nigdy obcych nie przyjmowała. Księcia w komnacie nie było.

Chociaż czuła w Opacie nieprzyjaciela, księżna Agnieszka przyjęła go uprzejmie, posadziła przy sobie, z razu o pobożnych rzeczach rozpoczynając rozmowę, któremi się nie wiele zwykła była zajmować. Opat Anzelm spokojnego udawać musiał, choć nim nie był.

— Wasza Przewielebność, — odezwała się w końcu Agnieszka, — musieliście słyszeć o losie tego nikczemnego zdrajcy, nad którym małżonek mój miał litość zbyteczną, bo na gorsze męczarnie i na śmierć zasłużył. Wiadomo, że on wasz klasztor wzniósł i uposażył, wyście pewnie zbiegłemu dali przytułek?

— Nie zgłaszał się o to do nas nieszczęśliwy Palatyn — rzekł spokojnie mnich. — Nierozumem też byłoby dlań tam się chcieć ukrywać, gdzie go pewnie naprzód szukać mogli ci, co zguby jego pragną.

— Więc go u was nie ma? — spytała księżna.

Opat rękę położył na krzyżu.

— Kłamstwa usty moje nie wyrzekną, — odezwał się — na ten krzyż święty ręczę Miłości Waszej, u nas go nie ma.

— Ale wiecie, gdzie jest pewnie — mówiła księżna z udaną łagodnością, — ja mu już zguby nie życzę, nie jest dla nas niebezpiecznym. Chciałam tylko przez miłosierdzie radzić mu, aby się ztąd oddalił. Sam książę teraz imać go każe.

— Któż wie, co Palatyn uczynił z sobą? — odparł Opat, — ja nie wiem, co zamierza. Zapewne sam on czuje, iż uchodzić powinien.

I zamilkł. (Ciąg dalszy nastąpi).

PAPIEŻE PIERWSI.

Mądrość i opatrzność boska, która przedewszystkiem opiekuje się Kościołem Chrystusowym, urządziła tak dziwnie, że Piotr święty pierwszy namiestnik Chrystusów przez 25 lat siedział na stolicy apostolskiej, a po nim zasiadało na niej w pierwszym wieku chrześciaństwa tylko jeszcze trzech pa-

pieży, którzy wszyscy doznali śmierci męczeńskiej.

Linus święty pochodził z Toskany, był synem zamożnych rodziców. Licząc 21 lat życia, przybył do Rzymu na nauki. Poznał tam Piotra świętego i kazał się do kościoła z twarzą zasłoniętą, co się jeszcze dziś dzieje w niektórych okolicach. Dał mu Bóg dar czynienia cudów, nie tylko opętani skutkiem jego modłów zostali uleczeni, lecz nawet umarli wracali do życia. Lecz zamiast iżby



NA „ANIÓŁ PAŃSKI“. (Obacz objaśnienia rycin na str. 254.)

ochrzcić. Linus był godnym uczniem swego mistrza, pobożnym, gorliwym mężem, pełnym łaski. Dla tego wyświęcił go Piotr święty na biskupa i ustanowił swoim następcą. Skoro został papieżem, nakazał, aby kobiety przychodziły świat był mu wdzięcznym i odpłacał mu miłością, prześladował męża bożego. Konsul (wysoki urzędnik) miał córkę opętaną przez ducha złego, która szukała pomocy u Linusa. Papież uleczył ją; lecz ojciec nie chciał w tem uznać

działania Boga, lecz oskarżył go o czarodziejstwo i kazał go ściąć. Ciało jego zostało pochowane na pagórku watykańskim obok grobu księcia apostołów. Rządził Kościołem bożym przez jedenaście lat.

Po Linusie nastąpił Kletus (czyli Anakletus), o którym tylko tyle wiadomo, że już był biskupem za czasów Piotra świętego a potem papieżem. Wyświęcił na rozkaz Piotra świętego 25 kapłanów i podzielił, jak inni donoszą, Rzym na 25 parafii. Rządził Kościołem 12 lat i poniósł śmierć męczeńską podczas prześladowania pod cesarzem Domicyanem.

Trzecim następcą Piotra świętego był święty Klemens, Rzymianin, współpracownik Pawła świętego, który o nim wspomina w liście do Filipensów, chwaląc go, że nazwisko jego zostało zapisane w księdze żywota. Zdaje się, że Klemens towarzyszył Pawłowi świętemu w podróżach misyjnych. Rządził Kościołem 9 lat. Klemens święty napisał list do gminy chrześciańskiej w Koryncie, tak piękny, że jeszcze po 70 latach czytano go w kościele w Koryncie i w innych kościołach.

List ten jest bardzo ważny, ponieważ widzimy z niego, że porządek kapłanów (hierarchia) jako rządzców Kościoła został ustanowiony przez samego Chrystusa Pana, że nie jest wymysłem ludzkim, że mamy arcybiskupów, biskupów, kapłanów, dyakonów. Już za Pawła świętego były jakieś rozdwojenia w Koryncie. Paweł święty pogodził wszystkich, a gmina w Koryncie odznaczała się gorliwością, dobrymi obyczajami, dobrym przykładem we wszystkich cnotach wobec innych gmin. Lecz jako to się zdarza i pomiędzy najlepszymi, znaleźli się i tacy, którzy nie chcieli słuchać przełożonych Kościoła i pozwalali sobie rzeczy, które do nich nie należały. Chcieli obok przełożonych Kościoła nauczać i sprawować części nabożeństwa. Podburzyli nawet część gminy i odsunęli prawych kapłanów, którzy od wielu lat sprawowali swój urząd. Kiedy powstały przez to w gminie wielkie nieporządki, rozsądniejsi w gminie wysłali posłów do Rzymu, aby się poradzić Klemensa, biskupa rzymskiego, następcy Piotra. Klemens napisał do Koryntu i pouczył gminę, że nabożeństwo może się tylko odbywać przez osoby ku temu poświęcone w oznaczonych czasach i w miejscach na to przeznaczonych. Powiada wyraźnie, że apostołowie to wszystko ustanowili na rozkaz Chrystusa Pana. Pisze tak:

»Spojrzmy gruntownie w głębiny boskiej wiadomości, abyśmy według obowiązku wypełnili wszystko w dobrym porządku, co Pan nasz w pewnych czasach czynić nam rozkazał, t. j. święcić ofiarę i nabożeństwo, i nie ma się to dziać bez porządku i opieszale, lecz w pewnych czasach i godzinach. Kto i gdzie ma odprawiać nabożeństwo, to sam oznaczył swoją najwyższą wolą, aby się działo w sposób pobożny i budujący i aby znalazło łaskawe przyjęcie z upodobaniem. Ci, którzy przynoszą swe ofiary w czasie oznaczonym, są błogosławieni i mili, bo kto postępuje według przepisów Pańskich, nie moze zbłądzić. Najwyższemu kapłanowi jest poruczona własna jego służba w nabożeństwie, kapłanom wyznaczone osobne działanie i lewici mają swoje osobne posługi, a świecki jest zobowiązany przepisami dla świeckich.«

Z tych słów świętego Klemensa nie tylko wynika, że biskupi, kapłani, dyakoni (lewici) stanowią osobne stopnie w rządach Kościoła, lecz że po jednej stronie stoją duchowni a po drugiej świeccy, którzy nie mieli prawa odprawiania nabożeństwa, lecz którzy byli zobowiązani przykazaniami. Innowiercy zaś uczą, że nie ma osobnego stanu kapłańskiego.

Powiadają, że Klemens podzielił Rzym na 7 obwodów i ustanowił 7 notaryuszy, którzy musieli zbierać wiadomości, jak i w jaki sposób umarli męczennicy. Klemensa pogański rząd wypędził do Krymu. Tam zastał 2000 chrześcian, którzy z nim na równą karę skazani zostali, do pracy w kamieniołomach. Odebrano im wszystko, mieli biedę, nawet wody nie mieli. Wtenczas Klemens wstąpił na blizki pagórek i modlił się. Wtem ujrzał

na wierzchołku pagórka baranka, który prawą nogą kopał ziemię, i tu wytrysło źródło wody tak obfite, że wszyscy mogli zaspokoić pragnienie. Dziwili się sami poganie i wielu przyjęło wiarę. Klemensa jednak skazano na to, aby go wrzucić w morze. Wywieziono go w okręcie na pełne morze, uwieszono mu żelazną kotwicę u szyi i wrzucono we wodę. Na brzegu stali chrześcianie i modlili się. Wtem morze cofnęło się o 3000 kroków, i kiedy chrześcianie weszli w głąb, widzieli świątynię z marmuru a w niej skrzynię, w której leżało ciało świętego, obok leżała kotwica. Przez to jeszcze więcej pogan zostało chrześcianami. Klemens wyświęcił 15 biskupów, 10 kapłanów i dwóch dyakonów, pomiędzy nimi świętego Cyryla, później apostoła Słowian.

DZIWOTWORY MORZA.

Badacz przyrody napotyka wszędzie na zjawiska dziwne i zagadkowe, najdziwaczniejszemi są jednak niezawodnie okazy żyjątek, kryjących się w głębokościach morza. W porównaniu ze światem zwierzęcym na stałym lądzie, choć tak licznym i różnorodnym, są to prawdziwe cuda, i to tak samo na powierzchni, jak i w dolnych warstwach wody, wieczną ciemnością spowitych. Znajdywano bowiem i na głębokości 6000 metrów jeszcze zwierzątka, obdarzone do tego oczyma. Na cóż mają tedy oczy, — wtrąci może w tem miejscu niejeden — kiedy tam wieczne ciemności? Czyż nie są one zupełnie zbyteczne u tych zwierząt? Prawda, byłyby zbyteczne, gdyby Pan Bóg, który nie zna bezcelowości, nie był obdarzył zwierzątek tych zarazem własnością fosforescencyi czyli wydawania ze siebie światła podobnego temu, jakie siarka wydaje w ciemności, lub gdyby im nie był dał różków świecących, którymi zdobycz chwytają.

Wszystkie te zwierzęta, różniące się tak bardzo pod każdym względem, co do wielkości, formy, koloru, mają jedną cechę wspólną: żarłoczność. Jedno z nich — nie będziemy dopiero przytaczali wymyślonych przezwisk, jakie im uczeni nadali — może n. p. tak szeroko paszczę rozciągnąć i tak rozepchać gardziel i żołądek, że zdolne połknąć nawet większe od siebie zwierzę. Inne znowu ma u paszczy pewien rodzaj torby tak obszernej, że w niej również większą od siebie zdobycz umieścić może.

W rzędzie tych żarłoczników zajmuje miejsce niepoślednie gatunek zwierząt znanych pod nazwiskiem zawilców morskich, z powodu ich barwności i różnorodności kształtów poetycznie kwiatami morza także zwanych. Czepiają się one gruntu, lub skał a poruszają się z miejsca na miejsce przez skurczanie i rozszerzanie powierzchni skóry; to się kołyszą na długich łodygach, do złudzenia podobne do kwiatów, otoczone wieńcem cienkich, długich różków, to znowu wyglądają jak bryłki, szerokiem, zębatem kwieciem obsiane, to tworzą jakoby gwiazdy kolorowe lub kielichy kwiaciane o kształcie wachlarza. I te piękne, choć, jak już powiedzieliśmy i jak z opisu wynika, dziwaczne stworzenia, są żarłokami, jakich szukać.

Pewnego razu schwytano takiego zawilca i zrobiono na nim następne doświadczenie: Mając sam zaledwo pięć centymetrów grubości, połknął on rybę, zwaną łupakiem, wielkości wyrosłego śledzia. Ale co dziwniejsza! Tkwiąc w żołądku zawilca, rozepchał go łupak tak, że żarłocznik wyglądał płaski jak placek. A że wszelkie połączenie między gardzielą a żołądkiem było skutkiem tego zupełnie przerwane, można było pomyśleć, że przyjdzie mu zdechnąć. Tymczasem co się dzieje! Oto tworzy się w innej wolnej części ciała zupełnie nowa gardziel, podczas gdy dawniejsza

zarasta. Są one w ogóle pod względem wytrzymałości i zdolności do życia i w najgorszych warunkach życiowych jedyne. W akwaryach, gdzie je z powodu ich barwności i dziwnych kształtów przechowują, zdarzało się nieraz, że zawilca, nadzwyczaj silnie uczepionego do jakiego przedmiotu, po prostu gwałtem odrywano, tak że tylko małe kawałki łodygi lub podstawy pozostały na miejscu. Po pewnym czasie, niekiedy już po paru dniach, kawałki te odrastały, wypełniły się, zapuściły różki jakby korzonki i każdy z nich stał się znowu osobnem żyjątkiem, całkowitem, jak to, którego częścią był przedtem.

Ciekawe są też tak zwane Holoturye, których istnieje kilka gatunków, z pomiędzy tych najpyszniejsza $^{3}/_{4}$ metra długa »synapta.« Tworzy ona niebieskawo-różowy, czysty jak kryształ wałek, w dłuż ozdobiony pięcioma mleczno białemi pręgami, błyszczącemi jak jedwab, posiada na jednym końcu koronę, składającą się z 12 wązkich, pierzastych, białawych listków, i porusza się w pięknych zgięciach. Przez skórę przebija zielony i pomarańczowy kolor wnętrzności. Jest to jednem słowem piękny okaz! Holoturye mają to do siebie, że mogą się samowolnie mnożyć w ten sposób, iż skurczają się w środku i rozdzielają na dwie połowy, z których każda znowu odrasta. Jeżeli je nieprzyjaciel ściga lub gdy je cokolwiekbądź rozdraźni, natenczas pozbywają się różków, wyrzucają z siebie wnętrzności, gardziel i paszczę i rozpadają się prawie w nicość. Wnet atoli każda z porzuconych części odrasta z wszelkiemi własnościami i właściwościami, które całość posiadała.



BOBOLICKA SKAŁA. (Obacz objaśnienia rycin na str. 255).

Holoturye stanowią w Chinach pod nazwaniem »trepang« bardzo ceniony artykuł spożywczy. Schwyciwszy je żywcem, wrzuca się je niebawem we wrzącą wodę morską, rozrzyna i suszy. W tym stanie sprzedawane należy włożyć do słodkiej wody i rozgotować je na zupę.

Swą dziwacznością zadziwia nie mniej także inny rodzaj morskich zwierząt, zwany »hydrą.« Składa on się z kolorowego woreczka, czasem czerwonego, czasem zielonego, z otworem zaopatrzonym w czułki czyli różki do chwytania zdobyczy. Zresztą nie posiada hydra ani serca, ani płuc, ani jakichbądź wewnętrznych organów. Można ją jak rękawiczkę przewrócić na ręby — ona i tak żyje dalej! Wprawdzie puszczona na wolność powraca ona w pierwotny stan, — atoli pozostaje i nadal w nowej postawie, skoro się jej zwiąże szyje i w ten sposób ją zmusi do zachowania nadanej zmiany. Co więcej, można hydrę pokrajać na kawałki, a jednak z każdego kawałka wyrośnie nowa hydra.

Z niezliczonych gatunków małżów (muszli), jakie wszelkie morza zamieszkują, dochodzi jeden prawie wielkości metra a posiada taką siłę, iż zdolen jest najgrubsze liny okrętowe przerznąć, zamykając obie skorupy! W nadmorskich miejscowościach można nieraz widzieć jednę ze skorup tej muszli w kościołach służącą za chrzcielnicę. Inny rodzaj małżów buduje sobie gniazda i to z kamyczków i resztek zdechłych muszli, połączając materyał rodzajem nici przez siebie wyrabianych. W tym to gnieździe twardem i mocnem jak skała czycha zwierzę przy wejściu na zdobycz, wciągając wszystko, co się w jej otoczenie

najbliższe dostanie, swymi długimi różkami do swej twierdzy i pożerając następnie z całym spokojem wytrawnego smakosza.

Najstraszniejszym z całej tej grupy żarłocznych rabusiów jest ośmiornica czyli atramentnica, polip, o którego wielkości najciekawsze przedtem krążyły bajki. I w rzeczy samej dochodzi on do nielada rozmiarów. W roku 1877 znaleziono na brzegu Nowej Zelandyi okaz na trzy metry długości i prawie dwa metry objętości. Z dziesięciu ramion, zaopatrzonych w przeszło 2000 przyrządów do ssania i uczepiania się schwytanej zdobyczy, miało ramię najsilniejsze 9 metrów długości, a 19 centymetrów grubości. Dziewięć mniejszych ramion miało tylko przeciętnie 3 metry długości. Oczy miały 19 centymetrów średnicy. Łatwo pojąć, że taki potwór i wielkim zwierzętom wodnym, ba nawet człowiekowi może być niebezpiecznym. Czernicę możnaby nazwać śmiało tygrysem morskim, bo chociaż syta zupełnie, morduje wszystko stworzenie, co się w jej moc dostanie, aby tylko mordować. W morzu natrafiają się także żyjątka, o których początkowo trudno nieraz powiedzieć, czy to zwierzę, czy roślina, czy kamień. Nieraz też już o to prowadzili uczeni między sobą spory długie i nie doszli do końca. Świetny to dowód, jak niedostateczną cała nasza wiedza, jak niepojętym i nieogarniętym jest Bóg w swym dziele stworzenia. Tylu uczonych od tylu wieków badało i bada przyrodę i nie doszło do końca! Przeciwnie, im dalej w las, tem więcej drzew! Każde odkrycie nieznanej prawdy lub nieznanej siły wydobywa na jaw równocześnie coraz nowsze, coraz zawilsze zagadki, i tak pozostanie, póty świat istnieć będzie, — bo istotę każdej rzeczy wie tylko jeden jedyny — Bóg, dla którego nie ma zagadek.

MARTYN.

Żył sobie na wsi, pono pod Litynem,
Ubogi chłopek, zwano go Martynem.
Równie ubogich niemało na świecie,
Lecz nieszczęśliwych jak on nie znajdziecie;
Bo to co roku, to nieurodzaje,
To jakieś szkody, straty Pan Bóg daje;
Ale nad wszystkie i szkody i straty
Straszniejszą była śmierć dla jego chaty.
Nasamprzód jego i żony rodzice,
Znowu za nimi bracia i siostrzyce,
To wuje, ciotki, to znowu za niemi
Ledwie coś z dzieci odrośnie od ziemi
Zaraz na cmentarz; i Martyna chata,
Przed laty taka ludna i bogata,
Zostanie właśnie jakby pustka dzika,
Od której człowiek, ba! i pies unika.

Ostatnie dziecko tylko co pochował,
Ostatnim kęskiem ubóstwo częstował;
Wtem się na nocleg podróżny zaprasza.
Przyjął go Martyn; przyjąwszy przynasza
Chleb pożyczony, misę dobrej strawy,
I jeszcze prosi, aby był łaskawy,
Nie gardząc chlebem powszednim i solą,
Raczył wybaczyć, gdy mu nie dozwolą
Obecne ciężkie smutki i kłopoty
Usłużyć według serca i ochoty.
Nazajutrz idąc w swą drogę podróżny,
Rzekł do Martyna: »Jestem tobie dłużny,
Dobry człowiecze, za twe ugoszczenie;
Wiem, żeś na moje nie gonił kieszenie,
Aleś mi służył z szczerej gościnności:
To przyjm odemnie, w zapłacie wdzięczności,
Mą dobrą radę; a wiedz, dobra rada
Częstokroć lepiej niżli grosz się nada.
Niezawsze pustką będzie twoja chata,
Syn ci się znajdzie jeszcze tego lata;
Ale na kuma nie wybierz sąsiada,
Lecz na rozdroże idź, tam znajdziesz dziada,
Proś go na kuma, a z tym kumem dziadem
Lepiej ci będzie, niż z każdym sąsiadem.«

Poszedł podróżny... Ot lato, i w lecie
Rodzi się właśnie Martynowi dziecię;
Przypomniał sobie gościa, jego słowa,
I zaraz poszedł, gdzie droga krzyżowa.
I znalazł dziada: kaleka ubogi
Siedział milczący u krzyżowej drogi,
A sękowaty przy nim kij podróżny
I mały worek, zapewne, że próżny.

Martyn do niego zbliża się i rzecze:
»Bóg mi dał syna, wy dobry człowiecze,
Chciejcie być kumem«. »Chętnie«, dziad odpo-
I poszli do wsi i ojcu popowi [wie.

Przynieśli dziecię i pięknie ochrzcili.
A gdy do domu dziecię odnosili,
Dziad rzekł: »Martynie, wiem żeś człek poczciwy
Ale ubogi, bardzo nieszczęśliwy;
Więc odtąd będziesz szczęśliwym, znachorem,
Wielkim znachorem, cudownym doktorem.«
»Ja! znachor, doktor«... »A tak, nie inaczej,
Odtąd śmierć z tobą we spółkę wejść raczy.
Jeśli wezwany przyjdziesz do chorego,
A śmierć stojącą ujrzysz w nogach jego,
To nie czekając daj krzyżyk na drogę;
Lecz gdy stojącą w głowach śmierć zobaczysz,
To za lekarstwo cokolwiek przeznaczysz,
Odrazu zleczysz z najcięższej choroby.
Bywaj zdrów kumie, od dzisiejszej doby
Za lat trzydzieści przyjdziesz na rozdroże,
A ciekawego coś zobaczysz może.«

(Dokończenie nastąpi.)

KOT.

Niepiękny przymiot przypomina nam kot, bo mówimy o niektórym człowieku, że jest fałszywym jak kot. Pies wyobraża i przypomina nam wierność, szczerość, przywiązanie, kot przeciwnie nieszczerość. Jak ludzie, tak i zwierzęta mają różne charaktery, różne przymioty, które stanowią ich naturę, ich duszę, ich serce, jądro, to co stanowi istotę.

Jak to niewinnie wygląda kotek, spokojnie sobie leży i śpi. Kiedy kota pogłaszczesz, jak to się przymila, jak to nadstawia gładkiego, miękkiego grzbietu, pazurków nie widać ani śladu — lecz nim się spostrzeżesz, ugryzie cię i pazurami draśnie.

Jak pies, tak i kot należał pierwotnie do zwierząt dzikich. Pies stracił dziką naturę, nie puszcza się na rabunek, źre wprawdzie chętnie mięso, lecz obejdzie się i bez tego. Goni za zającami na polu, gęsi i kury w podwórzu, lecz zwykle więcej dla przyjemności. Kot chleba nie ruszy, bułeczkę weźmie, lecz tylko wtenczas, kiedy umaczana w mleku. Jeżeli jednak się uda, to po cichu zakrada się do śpiżarni po jakie łakocie, zagląda do garnków z mlekiem, w kuchni też jest niebezpiecznym i nieprzyjemnym.

Dzika i rabusiowska natura kota okazuje się w tem, że napada znienacka na ptaszki, kurczęta, słowiki, kanarki. Że myszy zgrabnie chwyta, to jest pożyteczną rzeczą, lecz zawsze widać rabusia. Mądre przytem stworzenie z kota, ptaszka złapanego i zaduszonego chowa pokryjomu, lecz mysz przynosi pani, aby się niejako pochwalić.

Jednę cnotę jednak kot posiada, której ludzie powinni się od niego uczyć, w której powinni go naśladować, tą cnotą jest czystość i ochędóstwo.

Kot poszedł za człowiekiem, kiedy tenże opuścił życie dzikie i zaczął dom sobie budować, przebywać na jednem miejscu. Lubi kot mieć dach nad sobą, sucho leżeć w izbie ogrzanej, ile możności przy piecu, lubi też miękko leżeć, wygodniś. Lecz kot nie przywiązuje się do człowieku, nie idzie za nim przez góry i wody. Chociaż cała rodzina przeprowadza się do innego domu, kot pozostaje w starem pomieszkaniu. Kot nie opuszcza dobrowolnie swej siedziby, swego miejsca rodzinnego, a chociaż go się zabierze ze sobą w miechu, to jednak znajdzie drogę na stare miejsce.

Przeciw innym stworzeniom kot nie prowadzi wojny otwarcie i głośno jak pies, lecz postępuje cicho, podstępnie, napada znienacka, kurczy się, podchodzi powoli, w końcu szybkim skokiem wpada na swoję ofiarę. Myszy schwytanej i poduszonej nie źre zaraz, lecz bawi się męką stworzenia, któreby chciało uciec, a o którem wie kot, że już mu się nie wymknie. To też niepiękny przymiot kota. Z głodu podobno kot nie chwyta myszy, lecz tylko dla przyjemności. Myszy jednak wynoszą się z domu, w którym jest kilka kotów.

Kot jest zwierzęciem nocnem. Zdaje się, że w nocy lepiej widzi aniżeli we dnie, a oczy mu się świecą jak u sowy. Włos kota w nocy szeleści i wydaje iskry elektryczne, jeżeli się kota głaszcze

pod włos. Skoro kot ogonem merda, to trzeba się mieć na baczności. Koty zgrabnie umieją się wdrapywać na wyżki i skakać, a zawsze kot spadnie na nogi, choćbyś go z wieży zrzucił. Dla tego mówią o człowieku, który się zawsze umie wywinąć z niebezpieczeństwa, że pada zawsze na nogi jak kot. Nie trzeba jednak dla zabawy nigdy kota zrzucać, bo chociaż się nie zabije, to mu to jednak sprawia boleści i leży jak zabity przez pewien czas.

Nic mokrego nie lubi kot i broni się wszelkiemi siłami, jeżeli go się chce wrzucić we wodę. Aby odzwyczaić kota od polowania po polu, co chętnie czyni, to mu się obcina uszy, aby rosa i deszcz mu tam wpadały i aby pozostał w domu.

Koty lubią w szczegółowy sposób niektóre rośliny, tarzają się z przyjemnością w baldryanie i podobnych ziołach, odgrzebują takowe i gryzą. Natomiast nie lubią ruty.

Wiele kotów żyje w dzikim stanie, są jeszcze raz tak wielkie, jak swojskie i ważą czasem 16 funtów. Kot dziki przebywa tylko w gęstych lasach, na drzewach, w pustych drzewach, w szczelinach skał, w jamach lisich. Żywią się dzikie koty zwierzyną, ptaszkami, a nawet rybami. Skóry dzikich kotów czerwonawe z ciemnym pasem sprzedają się drogo na futra. Skóry zwykłych kotów też się noszą na zimę, niektórzy kładą je na gołe ciało lub na koszulę, ponieważ wyciągają romatyzm.

PODRÓŻ BALONEM.

(Ciąg dalszy.)

Płynął cicho i ostrożnie a w wielkim strachu.

Naraz uczuł, że chwyta go coś mocno, najprzód około ramion, potem około kolan.

Biedny Józef! Ostatnia godzina nadeszła. Ale nie tak łatwo chciał się dać pożreć, więc począł się wyrywać z owych uścisków. Wiedział, że krokodyle zwykle porywają swe ofiary na głąb wody i tam sobie ucztę z nich urządzają. Tymczasem to, co go trzymało, ciągnęło go na powierzchnią wody, nie zaś ku dołowi.

Gdy wypłynęli na powierzchnią, otworzył Józef oczy i spostrzegł, że dwaj murzyni trzymają go w objęciach.

— Zawsze lepiej, niż krokodyle! — pomyślał Józef. — Ale co oni zemną zrobią?... Może być, że te opryszki widzieli, jakem z balonu w jezioro wpadł. Ach! Gdyby mnie za jakiego syna księżyca lub słońca uważać chcieli, toby było dobrze! Myślę że uszanują istotę, która z nieba spadła!

I nie zawiódł się. Gdy bowiem do brzegu dopłynęli, padła gromada murzynów i murzynek, stojąca nad brzegiem, na kolana i nuż bić pokłony. Józef uśmiechnął się i podniósłszy dumnie głowę, miał takie uczucie, jakby królem był.

Mieszkańcy nie ograniczyli się na samych pokłonach; podali mu też niecoś do jedzenia. Było to kwaśne mleko, zaprawione ryżem i miodem. Józef nie zastanawiał się wiele nad tem, jaki smak miało to jadło, lecz głodny będąc, pałaszował, że dzicy niezawodnie nabrali uszanowania i przed apetytem tych, co »z nieba spadają.«

Niedługo zbliżył się wieczór. Wtedy mieszkańcy wyspy zaprowadzili go, ciągle wielkie uszanowanie mu okazując, do małej chaty na spoczynek. Był to właściwie szałas, podobny do tych, jakie górale budują. Zanim Józef wszedł do chaty, spostrzegł w koło niej kupki kości, jak mu się zdawało, ludzkich; to mu się wcale nie podobało, ale nic nie mówiąc wszedł do chatki, którą dzicy następnie zamknęli.

— Widzi mi się, jakoby ci ludzie sposobili mnie na zjedzenie. To jest źle, bardzo źle. Zobaczymy jednak, co

się stanie. Gdyby to rzeczywiście ostatnia noc dla mnie być miała?... Brrr! ku jego ratunkowi było. W tych smutnych medytacyach zasnął.



KOŚCIÓŁ ŚW. ANNY W WILNIE. (Obacz objaśnienia rycin na str. 255.)

Rozmyślał nad swem położeniem i jakkolwiek nie zbywało mu na dowcipie, nie mógł wymyśleć niczego, coby

Około północy poczuł jakieś zimno w koło siebie. Ocknąwszy się, spostrzegł, że woda do kolan stoi w chacie.

— To pewnie nowa męczarnia! — pomyślał — ale nie dam się.

Potem uderzył mocno w drzwi chatki, a gdy się te oderwały, wyszedł. Zdziwienie wielkie go ogarnęło; wyspa znikła, a w około niego była woda. Józef nie umiał sobie tego wytłómaczyć, choć to jest rzeczą bardzo zwyczajną w tamtych stronach, że wody jeziora nagle się podniósłszy, zalewają wysepki.

— Czy tak, czy owak, — mruczał do siebie — przynajmniej nie potrzebuję się obawiać tego, że mnie upieką i zjedzą.

Ku wielkiej radości spostrzegł też łódź bardzo niekształtną, bo z pnia drzewa wydrążoną. Popłynąwszy ku niej znalazł w niej także i wiosła. Wsiadł tedy do łodzi i puścił się z prądem. Około godziny 2-giej napotkał znów wysepkę, na którą wylądować postanowił.

Wyciągnąwszy łódź na stały ląd, wdrapał się na rozłożyste drzewo i usiadłszy między gałęziami, usnął.

Rano obejrzał sobie drzewo i cóż zobaczył? Wszystkie gałęzie i gałązki pokryte były wężami i rozmaitem obrzydliwem robactwem, które zaczęło się ruszać, gdy promienie słońca je ze snu zbudziły. Józef zmiarkował, że tu niebardzo bezpiecznie, więc zeszkoczył z drzewa wśród syku padalców.

— Oto rzecz, której w Europie nie dadzą wiary, — mruknął. Nie wiedział, że już różni uczeni podróżnicy tę właściwość jeziora Czadzkiego w książkach opisali.

Czemprędzej ruszył tedy dalej pieszo, bo nie uważał ziemi, na której nocował, za wyspę, lecz za stały lud, wybrzeże jeziora. Przedzierał się tedy przez krzaki cierniste, pilnie bacząc, aby się do ludzkich osad nadto nie zbliżyć, bo ludzi bał się więcej, niż wężów. Od czasu do czasu spoglądał w górę, czyli nie ujrzy balonu. Znając pana swego, nie wątpił, że go szukać będzie. Ale napróżno wzrok wytężał...

Skutkiem prędkiego marszu odezwał się i żołądek; Józefowi zaczęło się chcieć jeść. Nazbierał tedy korzonków i owoców różnych drzew i jadł, choć wiedział, że między owocami mogły się też zdarzyć trujące.

Wieczorem położył się na trawie nad brzegiem jeziora i byłby może mógł spać, gdyby nie muchy i mrówki, które mu spokoju nie dawały. Była to okropna noc. W około słyszał Józef ryk dzikich zwierząt i lada moment mogło jedno z nich zbliżyć się do legowiska jego a wtedy koniec...

Rano wykąpał się najprzód w jeziorze raz dla tego, aby się orzeźwić, a powtóre, aby się oczyścić z robactwa. Potem ruszył w dalszą podróż. Dokąd szedł, nad tem się nie zastanawiał; uciekał przed śmiercią.

— Gdzie też balon być może — myślał sobie. — Wiatr wieje na północ. A więc pan mój niezawodnie nad jeziorem się trzyma. Wczoraj szykowali niezawodnie balon do dalszej jazdy. W jednym dniu mogli to skończyć. Dziś więc mógłbym ich zobaczyć!... Zobaczę, czy nie zobaczę, nie ustanę w marszu. Może dobiję do jakiego miasta nadbrzeżnego. Z mieszkańcami dam sobie jako radę, jak już inni podróżni radę sobie dali. Naprzód tedy, naprzód! Odwagi!

OBJAŚNIENIA RYCIN.

„Anioł Pański“ to piękny zwyczaj modlitwy rano, w południe i wieczór. Od trzech wieków katolicy wierni modlą się w ten sposób. Znaczenie modlitwy tej jest przedewszystkiem to, że sobie przypominamy dzieło odkupienia przez Chrystusa Pana i że dzięki za to składamy Bogu. Z początku modlono się tylko wieczorem, kiedy dzwony kościelne dawały znak, że godziny pracy się kończyły dzienne. Papieże przyłączyli do tych modlitw odpusty, aby tem więcej pobudzić wiernych do modlitwy i wynagrodzić pobożność. Różne synody, czyli zebrania biskupów, polecały ten sposób modlitwy i odpustami obdarzały. Z początku modlitwy były dłuższe. Zaczęto też rano dzwonić na »Anioł Pański« i modlić się.

Na południe dzwoniono i modlono się najpierw w Piątek na pamiątkę męki Pańskiej. Podczas wojen o wyswobodzenie ziemi świętej od Turków dawano w południe dzwonami znak, aby wszyscy się modlili o zwycięstwo nad Turkami. W taki sposób, jak dziś się modlimy, najpierw we Francyi się modlono na »Anioł Pański«. Piękny to i pożyteczny zwyczaj. Przypominamy sobie, że każdy dzień z Bogiem poczynać i kończyć powinniśmy, że praca i wszystkie nasze dzienne sprawy w duchu chrześciańskim wykonane być powinny. Jak kapłan podczas mszy św. woła: »sursum corda!« w górę serca! tak dzwonienie na »Anioł Pański« upomina nas wśród pracy, mozołów, kłopotów i spraw tego świata: »w górę serca!«, nie zapominajcie, że na świecie do czasu przebywamy, główny cel naszego przeznaczenia: niebo! Modlitwa na »Anioł Pański« jest zarazem wyznaniem wiary wobec niewiary, wyznaniem Boga, Chrystusa Pana, Kościoła katolickiego. A wiemy, że Chrystus Pan za takie wyznanie niebo przyobiecuje.

Zachowajmy więc dla siebie i dalszych pokoleń ten zwyczaj katolicki, pobożny, zbawienny!

Bobolicka skała. W gubernii kieleckiej, powiecie olkuskim, jest miasto Lelów, a o półtorej mili od niego leży wieś Bobolice. Otóż w blizkości tej wsi jest skała, którą widzicie na obrazku na str. 248, zupełnie podobna do wielkiej bramy. Za nią w oddali widać zwaliska wielkiego niegdyś zamku, który węgierski król Ludwik, panując w tym kraju, podarował swemu siostrzeńcowi. Ten jednakże napadał przejezdnych kupców, lub nawet i spokojnych sąsiadów i rabował ich, jak zbójca. Nie podobało się to królowi Władysławowi Jagielle; przemocą też zamek odebrał, a księcia wypędził, zkąd przyszedł.

Kościół św. Anny w Wilnie. Z pomiędzy wielu kościołów, jakie są w mieście Wilnie, które z dawna słynie stolicą litewskiej ziemi, wspomnimy tu o kościółku świętej Anny, gdyż widzimy go na obrazku na stronie 253. Piękny to kościołek, choć mały, boć owe trzy wysmukłe wieżyce, owe łuki i gzemsy, filary i słupki różnej wielkości lepiej go zdobią, aniżeli jakieś figury, malowidła lub nawet pozłota. Gdy się bacznie wpatrzysz w mury tej świątyni, wszak zapewne pomyślisz, że dobry to musiał być budowniczy, jeśli tak pokierował całą robotą, iż mularze jego kielniami tylko wyrobili cały ten strój. W istocie ów budowniczy widocznie nie tylko znał się dobrze na swym rzemiośle, ale i myślał długo nad tem, co ma zrobić, aż wreszcie duch jego doskonalszy, niż fachowe wykształcenie, dodał mu bodźca do zbudowania świątyni o robocie pięknej i delikatnej, a zarazem poważnej.

Litwinom podobała się bardzo budowa kościoła św. Anny, to też długi czas mieli w pamięci swego budowniczego, lecz o imieniu i nazwisku jego zapomnieli, a w pisanych dziejach kościoła nikt tego nie może znaleźć. Prawda, że jest podanie ludu litewskiego, które tenże wymyślił sobie o budowie kościoła św. Anny; jednakże to tylko podanie, więc nie jest prawdą. Według owego podania jeden z mularskich czeladników, chcąc prześcignąć swego mistrza w sztuce budowniczej, zbudował ten kościół. Lecz gdy mistrz zobaczył tak ślicznie wystawioną przez swego ucznia świątynię, z zazdrości zepchnął go z rusztowania i zabił. Podanie to o owej zemście mistrza jest takie, jakich wiele zmyślano dawniej i teraz nawet bardzo wiele, a które z ust każdego człowieka wychodzą zwykle coraz bardziej przeinaczone.

Kiedy kościół świętej Anny został zbudowany, napewno nie jest wiadomem, ś. p. Kraszewski i wielu innych dziejopisów wzmiankują tylko, że około roku 1500, czyli przeszło 390 lat temu, kościół ów był już połączony murami z klasztorem księży Bernardynów, do których wtedy należał był. Na obrazku naszym klasztor ów widać cokolwiek z za murów kościoła świętej Anny.

Z pięknej więc swojej budowy słynny jest kościół świętej Anny, a warto również wspomnieć o nim i z tego względu, że około 300 lat temu, kiedy Marcin Luter głosił w Niemczech przeinaczoną przez się naukę Chrystusa, i tu pewien zakonnik niejaki Wiklef, rodem widocznie Niemiec, zaczął publicznie wyznania luterskiego nauczać. Podszedł on najpierw chytrze ówczesnego biskupa wileńskiego, księdza Pawła, że mu pozwolił prawić kazania po niemiecku, bo podówczas wielu już było Niemców w Wilnie. Lecz później ów ksiądz Wiklef po swojemu, to jest po lutersku nauczał. Duchowieństwo tamtejsze wówczas nie umiało po niemiecku, to też nie wiedziało, czego Wiklef uczy, ale wkrótce sam lud oburzył się przeciw niemu, zdradę wydał, a w końcu zmusił, że Niemiec z Wilna uciekać musiał.

Tyle podaliśmy wiadomości o kościele św. Anny, aleć kiedy mowa o Wilnie, więc warto wspomnieć i o Ostrej-Bramie, a raczej o cudownym obrazie Matki Bożej Ostrobramskiej, której wizerunek można spotkać i w różnych książkach do nabożeństwa i na oddzielnych obrazach, roznoszonych przez kramarzy.

Wiele lat minęło od założenia Wilna, kiedy ludność jego, zwiększywszy się liczebnie, zaczęła dawać różne nazwy różnym częściom swego miasta. Otóż wtedy jednę jego część nazwali Litwini »Ostrym« końcem, a później, kiedy i mur w koło miasta stanął i bramy w nim były, tę z nich, która się znajdowała

przy »ostrym« końcu, nazwali »Ostrą Bramą«. W tej to właśnie Ostrej Bramie znajduje się dziś słynny cudami obraz Matki Bożej. Kto z pobożnych ludzi zawiesił ten obraz po nad ową bramą i okiennice dorobił, aby się nie niszczył, nie wiadomo. Nie wiadomo również, skąd pochodzi ów obraz, przez kogo i jak dawno był malowany, a także jakim sposobem dostał się tu. Dzieje tego obrazu były podobno nawet spisane przez dwóch zakonników wileńskich, ale opisy owe zaginęły od dawna, nie wiadomo gdzie. To też J. I. Kraszewski w różnych starych pisanych księgach tylko niektóre wzmianki o tym obrazie znalazł i podał je nam w swoich księgach. »Obraz ten — pisze on — malowany jest na dębowych deskach, długich na 3 łokcie, a szerokich na piędzi siedm. Wyobraża zaś od głów do pół Najświętszą Maryę Pannę, jako matkę miłosierną i litościwą, z twarzą pociągłą, głowę trochę ku prawej stronie nachyloną mającą, z rękami przy piersiach na krzyż założonemi, jakby grzesznika przyjmującemi i przytulającemi udającego się do Jej opieki. Takim ten obraz był przed dwustu kilkudziesięciu laty, a przyznać należy, że do dziś wcale się nie zmienił. W owym właśnie czasie zakonnicy osiedli w klasztorze przy Ostrej Bramie, przenieśli cudowny obraz Matki Bożej do kościoła świętej Teresy, a w niedługim czasie wybudowali drewnianą kaplicę i tam, stosownie przyozdobiwszy miejsce, obraz z wielką czcią przenieśli.

W księgach ś. p. J. I. Kraszewskiego czytamy też opis następującego zdarzenia: w 1706 roku w pobliżu kościoła świętego Michała wszczął się pożar i dwoma ramionami poszedł na miasto, aż i do klasztoru Ojców Karmelitów sięgał. Widząc jawne niebezpieczeństwo, OO. Karmelici przedsięwzięli przenieść obraz Opiekunki i Patronki miasta, Matki Bożej Ostrobramskiej, do swego kościoła. Jakoż, kiedy dwaj zakonnicy wnieśli z wielką łatwością, choć i ogromny obraz do kaplicy kościoła świętej Teresy, ogień zaraz ustawać począł. W kilka dopiero lat potem jeden z zakonników zebrał pomiędzy pobożnymi fundusz na wystawienie kaplicy dla tego cudownego obrazu i zbudowali ją nad bramą, gdzie obraz Najświętszej Panny był najpierw, a gdzie i teraz znajduje się. Wchód do owej kaplicy jest dziś przez klasztor, w niej kapłan odprawia nabożeństwo, a pobożny lud modli się na podwórzu. Piękne to nabożeństwo pod gołem niebem miłe czyni wrażenie na każdego i wzbudza w sercu to wielkie poszanowanie, jakie się tylko Bogu należy. Tu i półmędrek i paniczyk, co go świat zepsuł, schyli kornie czoło i dreszcz go jakiś przejdzie, gdy we dnie lub o wieczornej porze posłyszy serdeczną modlitwę, która jakoby wprost przebija niebiosa. To też nikt się nie odważy choćby najmniejszem słowem lub czynem znieważyć tego świętego miejsca, a ktokolwiek przejeżdża lub przechodzi przez bramę pod kaplicą, każdy zdaleka już zdejmuje czapkę. Jedni żydzi pewno z niechęcią to robią, jednak robią, bo muszą; chyba najżarliwsi z nich wolą wcale tędy nie chodzić, byle przez zdjęcie czapki nie okazać czci dla Matki Boga, w którego nie wierzą.

Jest w Wilnie i katedralny kościół świętego Stanisława, który pierwotnie był zbudowany na gruzach pogańskiej świątyni Litwinów. Wielki ołtarz tego kościoła, jak wieść niesie, stoi na tem samem miejscu, gdzie na cześć bożka Perkuna palił się nigdy nie wygaszany ogień — żnicz.

ZŁOTE MYŚLI.

Napisał F. W.

Wielkie szczęście wielką szkodę czasem zrodzi; a zaś małe nieszczęście, wielkie szczęście rodzi.

* * *

Wiele wiedzieć, wiele umieć, wiele znać a korzyści z tego dla bliźnich nie czynić, — znaczy tyle, co pieniądze mieć ciągle zamknięte.

* * *

Jak z suchego płótna nie wyżdżmiesz kropli wody, tak od złego człowieka dobrego słowa.

Każdy człowiek zostałby świętym; przeszkadzają mu do tego własne i bliźnich przywary.

* * *

Świat posiada krocie mędrców; lecz bardzo mało takich, którzy się zawsze Boga boją.

* * *

Kto w nieszczęściu pierwszym, a w szczęściu ostatnim, tego Bóg stawi na pierwszem miejscu.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Gotowanie kartofli.** Jeżeli kartofle mają być smaczne, to trzeba je dopiero tuż przed wstawieniem do gotowania opłukać, włożyć je potem w zimną, trochę osoloną wodę i tak niech się do połowy ugotują, potem tę wodę trzeba odlać, a nalać na nie gotującej, także osolonej trochę wody i w tej niech się dogotują.

Gdy się przekonamy, że już dosyć mają, wlewa się trochę zimnej wody, przez co popękają i nie tracą aromatu.

— **Powidła ze śliwek.** Powidła ze śliwek robią się w ostatnich dniach Września lub w pierwszych Października, gdy węgierki są nie tylko dojrzałe, ale zupełnie przestałe, wtedy bowiem mają już bardzo wiele słodyczy, która zastępuje zupełnie potrzebę dodania cukru. Z każdego gatunku ciemnych śliwek można smażyć powidła, najlepsze są jednak z prawdziwych węgierek. Przebrać śliwki, odrzucając robaczywe części i rozrywając każdą śliwkę palcami, bez użycia noża odrzucać pestki. Tak przebrane śliwki włożyć do kociołka odpowiedniej wielkości i smażyć na wolnym ogniu, mięszając dużą drewnianą warząchwią, aby nie dopuścić przypalenia.

Śliwki w pół godziny puszczą tyle soku, że staną się jedną rzadką, jasną masą czyli płynem, który tak długo gotować trzeba przy ciągłem mięszaniu i pilnowaniu, by się nie przypaliły, aż zmienią kolor na ciemny, co nastąpi w 5 do 6 godzin, chociaż jeszcze będą dość rzadkie, gdyż dopiero po przesmarzeniu powtórnem na drugi dzień i zastygnięciu gęstnieją. W tym stanie po trochu przeciera się je przez gęste druciane sita łyżką. Na sicie nic nie powinno zostawać. W braku sita drucianego, użyć można przetaków. Wiele osób smaży śliwy z pestkami, co jest niewłaściwe, gdyż powidła nabierają pestkowego smaku, przy fasowaniu przedzierają sita i wiele powideł zostaje na pestkach. Po przelaniu włożyć powidła napowrót do rondla, dodając, jeżeli kto chce mieć je wykwintne, na każde 4 litry 1 klgr. cukru, smażyć, póki kawałkami z łyżki nie spadają, zaraz włożyć w garnek kamienny i wstawić na noc do ciepłego pieca.

— **Likier kminkowy.** Cukru miałkiego 35 dkgr. rozciera się z $4^1/_2$ gram. czystego olejku kminkowego, a potem rozpuszcza w $^3/_4$ litr. wody i dodaje 1 klgr. 68 dkgr. czystego alkoholu. Po niejakim czasie filtruje się przez bibułę.

— **Makaroniki.** Migdałów słodkich 56 dkgr. i gorzkich 35 gram. tłucze się w moździerzu z małą ilością (kilka kawałków) cukru, kładzie do rondla świeżo pobielanego, sypie do nich 56 dkgr. cukru miałkiego i stawia na ogniu, bezprzestannie mięszając. Gdy tak migdały na ogniu przeschną, że prawie do palców nie będą przylegać, zdjąć z ognia, wystudzić zupełnie, dodać do zimnych migdałów pięć białek ubitych na pianę, wymięszać doskonale i układać na opłatkach okrągłe plasterki i upiec w piecu letnim, t. j. trzymać w nim, póki się nie zarumienią.

— **Środki na odciski (nagniotki):**

1) Częstsze moczenie dotkniętej temiż nogi w wodzie z popiołem ugotowanej; noszenie zawsze czystych pończoch lub skarpetek i unikanie zbyt twardego, uciskającego obuwia.

2) Okrywanie nagniotka uskrobanem mydłem lub liściem rozchodnika pospolitego (sedum acre) po poprzedniem wymoczeniu nagniotka w miękkiej ogrzanej wodzie i ostrożnem oskrobaniu wierzchniej stwardniałej jego warstwy.

3) Okładanie odcisku solą winianu potażu (tartras potassae), okrywanie dokoła cienkim płóciennym płateczkiem, puszczając na okład ten kroplę wody.

4) Wyborny przeciw odciskom zalecany plaster składa się z 35 gram. gummy amoniackiej (gummi ammoniacum), 35 gram. wosku i 3 gramów daw. apt. wagi grynszpanu (aerugo s. viride aeris).

Jak się pielęgnuje owocowe drzewa w szkółce i w sadzie.

Szanowni panowie gospodarze, rozglądnijmy się po niektórych zagrodach gospodarskich, a zobaczymy puste ogrody, murawą albo chwastem zarosłe. I tak ziemia darmo leży i nie wydaje żadnego plonu. Budynki gospodarskie są poobrywane, strzechy od silnych wiatrów stoją gołe, bez żadnego drzewa, tylko gdzieniegdzie sadzą wierzby, lipy, jawory, jasiony, a przy niektórych zagrodach widać dzikie jabłonie, grusze, czereśnie.

Niech który z Was, szanowni panowie gospodarze, pojedzie przez kraj Morawę, zobaczycie tam drzewa owocowe w ogrodach, koło domów, wzdłuż dróg, wśród pól: jabłonie, grusze, śliwy, wiśnie, a pomiędzy te drzewa sadzą różne produkta, jako to: kartofle, buraki, marchew, sieją jęczmień, owies, proso i różne mięszanki.

Tamtejsi włościanie mniej mają roli, a więcej z niej zbierają zbóż i owoców niż my. U nas leżą nieużyteczne niziny i pagórki, bo nic nie sadzimy, tylko narzekamy, że ziemia mało wydaje. Właściwie narzekać nie ma co, bo ziemia potrzebuje pracy nad sobą: słusznie mówi przysłowie: »Pracuj, człowiecze, a Bóg ci dopomoże!«

Wziąć się więc trzeba do sadzenia drzew owocowych na nizinach i pagórkach, bo na pagórkach, byle niezbyt suchych lub niejałowych, najlepiej się udają.

Widziałem w Austryi, jak Niemcy na górach zakładają swoje winnice, a dla czego my nie sadzimy choćby drzew owocowych w ogrodach, wzdłuż dróg, i po polach, ba! wycinamy nawet stare jabłonie, grusze, cze-

reśnie, śliwy i wiśnie, które nasi praojcowie i ojcowie sadzili.

Dawnymi czasy nasi przodkowie sadzili koło budowli drzewa owocowe lub dzikie lipy, jawory, jasiony i brzozy, aby zasłonić swe budynki od silnych wiatrów, lub od pożaru, nakoniec sadzili olszynę po urwiskach i brzegach rzeki, lub po debrach.

My młodsi, panowie gospodarze, powycinaliśmy starożytne drzewa, ale nie zasadziliśmy innych, to też nasza okolica została zimną, pustą Syberyą; teraz wieją ostre wiatry, hulają zamieci śnieżne, a my narzekamy, że Pan Bóg zsyła nam takie zimne powietrze i wiosna się spóźnia, a rychło następuje zima.

Oto my sami winni sobie; Pan Bóg dał nam umiarkowany klimat i my sami ten klimat umiarkowany zamieniliśmy na zimny przez wycinanie lasów i drzew owocowych. Ptactwo już nas opuściło, nie ma się gdzie gnieździć, a ono nam wielką usługę czyniło, bo wyjadało z naszej roli różne robactwa szkodliwe.

Pan Bóg stworzył dla pierwszego człowieka Adama ogród drzew owocowych, zwany Rajem; i myśmy też powinni taki sam ogród czyli sad założyć. Sad robi nam przyjemność i daje nam smaczny owoc, który można sprzedać za dobre pieniądze.

Wejdziemy na wiosnę do sadu, jak on pięknie wygląda; tu kwitnie biało, tam różowo i woń daje, słychać śpiew ptasząt, szczygłów i zięb i nawet słowik przylatuje z poblizkiego gaju i swym śpiewem, tak ślicznym, w pogodny wieczór rozwesela nas. Bogata jesień nastąpi, drzewa wydają żółty, czerwony, różowy owoc, aż oko zachwyca. Szanowni panowie gospodarze, podaję wam, jak to można przyjść do pięknego sadu drzew owocowych.

Grunt pod szkółkę wybiera się niebardzo suchy ani mokry, głębiej z ziemią czarną, lub lekko gliniastą, aby nie był w spodzie mokry, ani twardy, bo podczas gorącego lata roślinki zżółkną i zniszczeją. W jesieni, w Październiku lub w Listopadzie, wybiera się dobrze zgnojoną, głęboko skopaną grządkę, na której okopowe rośliny były, jako to: kartofle, buraki, marchew, bo na świeżej murawie skopana grządka nie da się uprawić i będzie zarastać chwastem.

Zbiera się z dzikich, lub z szlachetnych drzew owoc dojrzały i z tego owocu, jedząc, wybiera się ziarnka i suszy się w cieniu, a nie na słońcu.

W jesieni sieje się ziarnka na grządkę dobrze uprawioną. Bierze się sznur i kładzie się na grzędzie, robi się patykiem zaostrzonym koło sznura rowki takie, żeby się ziarnko schowało i sieje się ziarna nie rzadko, ani gęsto, na metr ziarnko od ziarnka i przykrywa się te rowki miękką ziemią. Znaczki na grzędzie można porobić z deszczułek, końcami ostro ciętymi.

Grządkę zasianą nakrywa się na zimę gnojem lub liściem, a nawet będzie dobrze gałęziami ze świerków ze szpilkami, żeby myszy się nie wkradły pod gnój, bo one te ziarnka lubią.

A na wiosnę, jak będą wschodzić ziarnówki, czy jest gnój lub liście, gałęzie pozbierać i uważać, żeby nie deptały i nie grzebały kury, bo ziarnka kiełkujące mają kruchy kiełek, który może się odłamać.

Jak ziarnka wypuszczą po dwa listki, a chcemy mieć drobne, włókniste korzonki ziarnówek, uprawia się inną grządkę do przesadzenia tych ziarnówek, bo ziarnówki, które nie przesadzone, rosną w długie korzenie, najczęściej u gruszek.

Wybiera się te ziarnówki z grządki i ucina się nożem czwartą część korzenia sercowego, czyli dolnego i wkłada się w wodę zapuszczoną ziemią lub w wilgotny mech, żeby nie zwiędły; przesadza się w grządkę jedna od drugiej na 8 centrymetrów, robiąc patykiem zaciosanym dziury i wsadza się w te dziury ziarnówkę czyli sadzonki i uciska się ziemię palcami koło sadzonki, żeby wiatr nie dostał się do korzeni sadzonek i nie ususzył ich.

Rozmaitości.

* **W Paryżu** zajmują się wszyscy planem wystawy powszechnej r. 1900. Wystawa ta ma przewyższyć wszystkie inne przepychem i okazałością. Na polach Elizejskich wzdłuż Sekwany mają być pobudowane na czas wystawy wioski, ogrody, kawiarnie, restauracye, a nawet i miasta wszystkich narodów świata. Zwiedzający więc wystawę będą mogli jeden dzień spędzić niejako w Rosyi, drugi w Hiszpanii, trzeci znów w Anglii, Ameryce, Japonii, Australii, a cała wystawa byłaby rodzajem podróży na okół świata.

Sieć kolei elektrycznych musiałaby zatem przerzynać we wszystkich kierunkach miejsce wystawy.

Jest także projekt, aby publiczność przewozić z miejsca na miejsce za pomocą kolei powietrznej, podobnie jak w niektórych większych miastach przesyła się listy w tłokach.

* **Wolne od zarazy.** Z okazyi szerzącej się cholery dzienniki zagraniczne wyliczają miejscowości, tak szczęśliwie położone, iż nigdy z przyczyn niewyjaśnionych nie bywały zarazą dotknięte. Są niemi w Europie zachodniej: Akwizgran, Baden, Birmingham, Wersal, Würzburg, Gryfia, Lugdun, Sedan, Stralsund, Falkjun (Szwecya), Friedberg (około Augsburga), Freiburg (Saksonia), Cheltenham, Stuttgart i cała Szwajcarya.

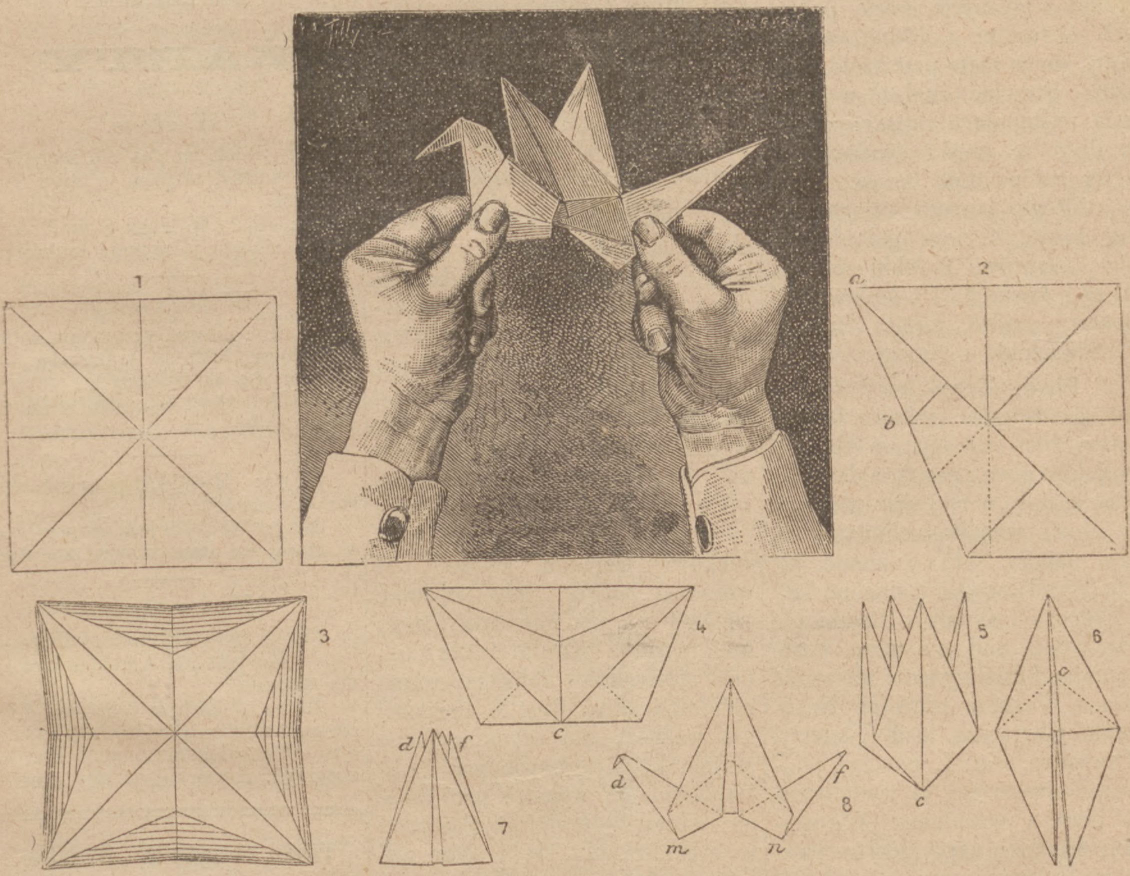
* **Z bruku paryzkiego.** Kronikarz pewnego pisma w Paryżu pisze, co następuje:

Prokurator oskarżał pewnego oszusta: »Panowie! zawołał, zwracając się do sędziów, człowiek ten jest »Grekiem« z zawodu. Brzydki on jak »Japończyk.« Ubiera się jak »włoski« bandyta, żyje jak »cygan.« Wychowanie odebrał czysto sabaudzkie, zachowuje się tutaj istnie po amerykańsku. Objawia chciwość »Araba,« upija się jak Bela, który był, jak wiecie, największym pijaczyną ze wszystkich królów węgierskich, a w dodatku mówi po francusku jak krowa hiszpań-

ska. Zasłużył na to, żeby mu brzuch rozpruto, według mody panującej w Chinach, lub żeby go na pal wbito, jak to się praktykuje w Turcyi.

Przemówienie prokuratura, ciągnie wesoły kronikarz, wywołało powszechnie oburzenie w sferach dyplomatycznych. Ambasadorowie Włoch, Japonii, Turcyi, Stanów Zjednoczonych, Węgier i t. d. wystąpili z reklamacyami. Noty dyplomatyczne sypią się na głowę ministra spraw zewnętrznych p. Ribota, który zmordowany ciężkiem zadaniem załagodzenia tylu zatargów, stał się podobnym do zmoczonego śledzia holenderskiego, co podobno pobudziło ministra Niderlandyi do zażądania eksplikacyi.

* **Pływający** szpital dla cholerycznych. Korespondent pewien tak opisuje szpital pływający dla cholerycznych w Niżnym Nowogrodzie. Jest to olbrzymia barka, służąca do przewozu nafty, ale odrestaurowana zupełnie na nowo. Długość jej wynosi 144, a szerokość 16 arszynów (łokci). Barka osadzona jest w wodzie dość głęboko. Na górze, gdzie doglądają chorych, jest kryty pokład, mieszczący z łatwością 60 łóżek; pod nim ogromna sala, 5 arszynów wysoka, 13 arszynów szeroka, a 18 sążni długa. Posiada ona 80 okien i 190 łóżek, a liczba ta w razie potrzeby może być zdwojoną. Na łóżkach zamiast materaców leżą tanie słomiane maty, miękkie i łatwe do spalenia, oraz poduszki z siana i trawy morskiej. Oprócz tego na barce znajduje się wielka kuchnia. Dalej idzie pomieszczenie dla personału, apteki, skład i dwie wanny dla chorych. Urządzenie tego pływającego szpitalu kosztuje 16.000 rubli. Personał składa się z doktora głównego p. Roksańskiego, docenta uniwersytetu kazańskiego, 3 innych lekarzy, 17 Sióstr miłosierdzia, 11



Ptaszek z papieru.

Chcąc go wykonać, wziąć należy kwadratowy, ćwierć łokcia z każdego boku mający kawałek papieru, złożyć go wzdłuż, wszerz i dwa razy na ukos, jak to wskazuje **fig. 1**. Potem wykonać należy załom wskazany na **fig. 2**, mocno naciskając w punkcie od **a** do **b**. Załomów takich powinno być 8, po dwa na każdym z czterech rogów. Po wykonaniu ich **fig. 3** łatwo będzie odznaczyć na kwadracie ołówkiem, a trzymając się odznaczonych linii wykonać **fig. 4**.

Załamując papier na składach pozostałych, wewnątrz linii zakreślonych ołówkiem, wykonamy **fig. 5**, którą trzeba ułożyć w ten sposób, aby z wierzchu i ze spodu znajdował się róg nieprzedzielony, a wewnątrz dwa końce.

Przewróciwszy do góry nogami złożoną **fig. 5**, podnieśmy z obu stron do góry rogi nieprzedzielone, jak to wskazuje **fig. 6**, a złożywszy ją znowu we dwoje, ale w przeciwnym kierunku, otrzymamy **fig 7**. Wtedy szpice **d** i **f** załamać należy, jak to wskazuje **fig. 8** i ptak już gotowy.

Chcąc skrzydełka w ruch wprawić, trzeba ująć ptaka w dwa palce każdej ręki i lekko pociągać w punktach **m** i **n**.

felczerów i 24 ludzi do obsługi sanitarnej. Barka znajduje się o 5 wiorst po za miastem, stoi na kotwicy około piaszczystej i pustej wyspy, w pobliżu tej miejscowości wybrzeża, gdzie ma być założony cmentarz dla cholerycznych. Chorych do pływającego szpitala dowozi rządowy statek policyi rzecznej.

* **Zapasy orlego gniazda.** W Alpach sabaudzkich udało się w tych dniach pewnemu strzelcowi, nazwiskiem Vignale, wybrać orle gniazdo, umieszczone pod wielką wystającą skałą. Zastrzeliwszy orlicę, znalazł w gnieździe młodego orła, którego skrzydła miały już $1^1/_2$ metra. Spód obszernego gniazda zrobiony był z grubych gałęzi pokrytych chrustem i liśćmi, a mogłoby się w niem pomieścić sześć osób. Strzelec znalazł w gnieździe następujące zapasy: znaczną ilość w części świeżego, w części nadpsutego mięsa, tylko co zabitego białego zająca, 27 nóg kozic, 4 nogi gołębie, 30 nóg bażantów, 3 łebki kurcze, 11 nóg kurzych, 18 łepków kuropatw, nadto resztki innego ptactwa, żmije i świszcze.

* **Piwo.** Znajdujemy w »Revue scientifique« ciekawe bardzo historyczno-statystyczne dane o produkcyi piwa i udoskonaleniach, jakie zostały w niej wprowadzone od czasu rozpowszechnienia się tego napoju. Piwo znane już było przed dwoma tysiącami laty u Egipcyan. Grecy i Rzymianie przekładali nad nie wino, pozostawiając barbarzyńcom używanie piwa. W roku 1200 po Narodzeniu Chrystusa król Flandryi i Brabantu, Jan I, nauczył poddanych swych sztuki wydobywania piwa z jęczmienia. We wiekach średnich napój ten nazywał się we Francyi »cervoise« od Cerery, bogini zboża, i słusznie nosił to miano, albowiem w owych czasach wyrabiano go z jęczmienia tylko, bez domieszki chmielu. Germanie wprowadzili go do produkcyi piwa i nadali wyrobowi swemu nazwę »Bier,« używaną z małemi zmianami we wszystkich narzeczach germańskich i romańskich. Uprawa chmielu, pochodzącego pierwotnie z Rosyi, doszła w Niemczech do wielkiego rozwoju, zwłaszcza w Bawaryi i Czechach. W 14-tym wieku produkcya piwa w Niemczech była już tak znaczną, iż wywożono je po za granice państwa, przeważnie do Anglii. Na nieszczęście dla siebie wywozili Niemcy także chmiel, umożliwiając ten rozwój piwowarstwa w innych krajach. Skorzystała z tego najprzód Wielka Brytania, która do dziś dnia jest jedynym krajem, mogącym iść w zawody z Niemcami pod względem wyrobu piwa. — Ogólna ilość wyprodukowanego rocznie w Europie piwa wynosi 176 milionów hektolitrów (Niemcy przyczyniają się do tego 47.602,939 hektolitrami), co się równa 18 milionom kubicznych metrów. Utworzyłoby to czworogranne jezioro, głębokości 1 metra, długości 4 kilometrów i takiejże szerokości.

* **Jak ślepy „widzi?".** Wychodząca w Hamburgu i Lipsku gazeta lekarska, zamieściła niedawno zajmujący artykuł z życia ślepych. — Autor dowodzi między innemi, że nie trafne jest zdanie, jakoby ślepy uzupełniał ślepotę swą zmysłem dotykania; w daleko wyższym stopniu zdanie to spełnia zmysł słuchu. »Nie chodzi tu tylko o zaostrzenie słuchu, które umożliwia człowiekowi ślepemu słyszeć coś wtenczas nawet, gdy człowiek widzący nic już nie słyszy, ślepy atoli posiada czasami także zdolność niesłychanie delikatnego rozróżniania słów. Jest to niezmiernie ważnem dla oryentacyjnego zmysłu ludzi pozbawionych światła dziennego; wskutek tego może on nabrać zadziwiającej pewności w oryentowaniu się i może odbywać dalekie przechadzki po ożywionych ulicach wielkich miast bez przewodnika. Okoliczność ta, że ślepy najczęściej wrażenia z świata zewnętrznego odbiera za pośrednictwem ucha, tłómaczy też, że on często, a nieraz wbrew nawet własnemu przekonaniu, z miłości lub nienawiści powoduje się dźwiękiem głosu dotyczącej osoby, podobnie jak człowiek widzący dla pewnej twarzy odczuwa miłość, dla innej odrazę. Do jakiego stopnia dojść może udoskonalenie słuchu u ciemnych, wskazuje następujący wypadek: Ślepa dziewczynka słyszała kilkakrotnie śpiew sławnej śpiewaczki, a porwana jego metalicznym dźwiękiem, urobiła sobie nadzwyczaj idealne pojęcie o osobie artystki. Gdy znajomy dziewczynki opisał jej razu pewnego lekkomyślny tryb życia śpiewaczki, niewidoma odarta nagle z uroczych iluzyi, wykrzyknęła z naiwnym bólem: »Skoro ten głos może kłamać, to już wszystko jest kłamstwem.«

ŻARTY.

W zimie.

A.: Jeżeli mi pan nie zapłaci, co mi się należy, to pana w ciągu 8 dni zaskarżę.

B.: Co? W ciągu 8 dni? A czy to pan nie wie, jakie teraz dni krótkie?

W restauracyi.

— Hm, pieczeń wieprzowa, kotlety wieprzowe, kiełbasa krakowska — a może u was są trychiny?...

— Do usług! wszystko u nas jest proszę łaski pana...

Żona: Mężu! czego ty tak często we śnie mówisz?

Mąż: To tylko jedyna sposobność, w której mi dasz przyjść do słowa.

Mądre dziecko.

Ciotka pyta się małego Karolcia:

— Powiedz mi, Karolciu, któż ciebie stworzył?

Na to, wskazując ręką ćwierć łokcia po nad ziemią, odpowiada Karolek:

— Tak wielkim to mnie Pan Bóg stworzył: resztę to już sam urosłem.

Treść zeszytu 16 „Światła":

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu G.-Sz.